TRZY LEGENDY

Z DAWNYCH LAT

WEDŁUG OBCYCH PODAŃ OPOWIEDZIAŁ

ADAM PŁUG.

ILLUSTROWAŁ

E. M. ANDRIOLLI.

WARSZAWA.
Teodor Paprocki i S-ka
Nowy-Świat 41.

1889.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.
Варшава, 6 Октября 1888 года.

Druk S. LEWENTALA, Nowy-Świat Nr. 41.

PRZYJACIOŁOM SWOIM PODOLSKIM

płacąc sercem za serce i pamięcią za pamięć

POŚWIĘCA

Adam Pług.

MATKA.



A noc milczy, niezwruszona, cicha...

MATKA.

Nocna burza sroży się zimowa,
Wstrząsa zręby chatek, strzechy zrywa;
A pod jedną z nich nieboga wdowa,
U kolebki siedząc nieszczęśliwa,
W krwawym bólu załamuje dłonie
I ze łkaniem rzewném we łzach tonie,
I nie słyszy, jak się wicher miota,
Jak szturmuje w okna, drzwi i ściany.
Ach! bo całe szczęście jéj żywota,
Jéj aniołek luby, ukochany,
W téj kolebce leży, jak umarły!
Zbladło liczko, jak kwiat lilji biały,
I usteczek róże posiniały,
I oczęta jasne się zawarły!
Już biedactwo prawie nie oddycha;
Czasem tylko pierś mu się poruszy, —

Niby westchnie, niby jęknie zcicha,
I wnet zaniemieje, jak bez duszy!
Więc i ona razem z swą dzieciną
Kona z żalu, śmierci czuje dreszcze;
A łzy gorzkie coraz hojniéj płyną
I co chwila żal jéj wzrasta jeszcze!

W tém drzwi skrzypną i, owiana parą,
Co z podwórka zimą w izbę wpada,
Otulona grubą płachtą szarą,
Wnijdzie starowina, jak śmierć blada.
Przygarbiona, drżąca, snać uboga,
I pokornie stanie tuż u proga.

Zapłakane oczy wdowa młoda
Zwróci na nią i uprzejmie skinie,
By zajęła miejsce przy kominie,
I z polewką ciepłą kubek poda.
Więc staruszka spocznie u ogniska,
Ciepły napój jednym tchem wychyli,
Spojrzy na kolebkę i po chwili
Cicho ku niéj się przysunie zblizka,
I usiędzie, i choć nic nie gada,
Daje poznać, że odpłacić rada
Za gościnność biednéj téj kobiecie,
I kołysać pocznie chore dziecię.

—„O babuniu moja ty jedyna!
Rozrzewniona matka się odzywa,—
Widzisz, jak się męczy ta dziecina!
Widzisz, jaka ja dziś nieszczęśliwa!...
Tyś w swym wieku już doznała wiele,
Kołysała dziatwę i wnuczęta;
To wiész pewno, jaki balsam, ziele,
Jaka siła święta, czy zaklęta,
Uratuje drogie to niebożę!?...
Milczysz?... głową chwiejesz?... o mój Boże!
Boże! żadnéj-że już rady niéma?!”

I załamie ręce, i oczyma,
Co łzy leją, niby wodę zdroje,
To na babkę patrzy, pełna trwogi,
To na biedne dzieciąteczko swoje.
Stara milczy, lecz aniołek drogi—
Boże dobry, ach, co za pociecha!—
Śpi spokojnie, przez sen się uśmiecha!...
A więc wstrzyma płacz swój i westchnienia,
Wstrzyma oddech i przyciśnie dłonie,
Chcąc przytłumić bicie serca w łonie,
I jak w posąg cała się zamienia,
Żywa tylko trwogą i nadzieją...
Wtém powieki nagle jéj się skleją,
I ku piersiom głowa jéj opadnie,

I ramiona zwieszą się bezwładnie...
Po trzech dobach chwilka to jedyna,
W któréj we śnie trosk swych zapomina...

Chwilka — mgnienie — raptem chłód grobowy
Wstrząśnie dreszczem ją od stóp do głowy!
Z przerażeniem zrywa się na nogi
I straszliwym jękiem drżą jéj usta!...
Niéma staréj i kolébka pusta!
Wicher tylko wyje, i złowrogi
Na poddaszu słychać głos puszczyka!
Więc jak stała, niby lwica dzika,
Któréj łowcy pochwycili lwiątko,
Jednym skokiem z chatki swéj wypadnie
Ścigać czarownicę, co tak zdradnie
Skradła ukochane jéj dzieciątko.

Pędzi, z sieni rzuca się w podwórze...
Ma ją, chwyta... ach nie! to nie ona!
Inna jakaś baba, otulona
Czarną szatą, stoi na wichurze.

W płacz więc do niéj: „o na Pańskie rany!
Błagam, powiedz, w którą poszła stronę
Niecna wiedźma, co mi ukochany
Skarb mój skradła, dziecko me rodzone?“



Chwyta krzak w objęcia i przyciska,

—„Ej nie wiedźma! ta jéj rzecze, — ino
Śmierć to była gościem w twoim domu,
I widziałam, biegła z twą dzieciną;
Lecz nie zgonić nigdy jéj nikomu,
Bo od wichru szybsza i nikt zgoła,
Co już wzięła, wydrzéć jéj nie zdoła.”

—„O! ja zgonię ją, ja zgonię!
Ja jéj wydrę duszę mojéj duszy!
Powiédz tylko, w któréj ona stronie?!”
Czarna postać smutnie głową ruszy.

—„Sprobuj — rzecze — ale ci nie wcześniéj
Wskażę drogę, aż mą spełnisz wolę
I wyśpiéwasz mi te wszystkie pieśni,
Coś śpiéwała, kojąc dziecka bole,
U kolébki jego, jak przykuta.
Dobrze znana mi ich rzewna nuta,
Bo nią zdawna ucho moje pieszczę.
Ja Noc jestem; w mroki swe i ciszę,
Z płaczem twym zmieszane wciąż je słyszę,
Lecz posłuchać radabym raz jeszcze.”

—„O, wyśpiéwam wszystkie! całe życie
Śpiéwać będę! — jęknie znów nieboga,—
Wprzód niech tylko śmierci wydrę dziécię!..
Nie zatrzymuj mię, na miłość Boga!

Mów! gdzie poszła?" I nadstawi ucha,
I drży wszystka, trwożna, niecierpliwa;
A Noc milczy, niewzruszona, głucha...
Więc załamie ręce i zaśpiéwa. —
Płyną pieśni, łzy gorące płyną,
Coraz rzewniéj, coraz boleściwiéj;
Aż się w końcu zimna Noc roztkliwi
I — „tam — rzecze — poszła śmierć z dzieciną,
Gdzie czernieje puszcza ta jodłowa." —

I już pędzi biedna matka wdowa;
Pędzi, leci, ledwie oddech chwyta;
I dopada boru, i... jak wryta
Staje nagle, kamienieje!... W borze
W różne strony ściele się rozdroże
I nikogo wkoło, ach nikogo,
Coby rzekł jej życzliwemi słowy,
Którą z dzieckiem śmierć pobiegła drogą?!

Spojrzy, — na rozdrożu krzak cierniowy
Stoi, kolczyskami najeżony
I okryty lodowemi szrony.
Więc ku niemu zwróci się z zaklęciem:

—„ O mój krzaczku! powiedz miłosiernie,
Czyś nie widział, kędy tu z dziecięciem

Śmierć pobiegła ?" — A jéj na to ciernie,
Drżąc na wietrze mroźnym, zaszeleści:

—„O widziałem! ale bez nagrody
Ja ci nie dam téj, co żądasz, wieści.
Przytul mię do łona, ogrzéj wprzody.
Widzisz, co zrobiła ze mnie zima?
Kwiatka ani listka na mnie niéma
I gałązki szron mi ciężki zgina;
Ledwie żyję."
Biedna kobiecina
Chwyta krzak w objęcia i przyciska,
I tak tuli do ciepłego łona,
Aż gorąca, żywa krew czerwona
Jéj z pod serca płynie na cierniska;
I topnieją téjże chwili szrony,
I wystrzela z pączka liść zielony,
I gałązki stroją się już w kwiatki...
Ach! bo serce kochającéj matki
Tyle ciepła, życia da w potrzebie,
Co wiosenne słonko to na niebie!

I dotrzymał krzak danego słowa,
Wskazał drogę. Leci daléj wdowa,
Wiatr wyściga w locie; wtém — o Boże!...
Stanie nagle znowu przy jeziorze,

Co rozlane przed nią tak szeroko,
Że i brzegu nie dosięgnie oko,
A tak groźne, dzikie, rozhukane,
Iż go lody okuć nie zdołały,
I olbrzymie, straszne na niém wały,
Rycząc, krę druzgocą w białą pianę.

—„Boże! Boże! —jęknie zrozpaczona,—
Ratuj! skrzydła rzuć mi na ramiona!
W ptaka przemień a niech śmierć dogonię!“
Z żalu wreszcie rozum ją odbiega,
I wnet na twarz rzuca się u brzega,
I ustami chciwie wodę chłonie...
Ach, bo mniema biedna w swoim szale,
Że wypije te bezdenne fale,
I za dzieckiem pomknie suchą nogą!
Lecz jezioro mruknie jéj złowrogo:

—„Ej nie wypić tobie wody ze mnie,
Toż i nie trać czasu nadaremnie.
Cel twój wprawdzie bardzo niedaleki;
Lecz nie dojdziesz go bez méj opieki,
Luboś wichry wyścignęła w biegu.
Tam, na drugim mojéj toni brzegu,
Jest mieszkanie śmierci i bogaty
Ogród jéj, gdzie drzewa, zioła, kwiaty,



Leci dalej wdowa, wiatr wyściga w locie.

We źdźiebełku, pączku lub rozkwicie,
Zawierają w sobie ludzkie życie;
Tam i twoje dzieciąteczko rośnie."

—„Puść-że mnie tam prędzéj! puść!" — żałośnie
Jęknie matka i w jezioro skoczy.—

—„Stój! — posłuchaj! — rzecze znów jezioro, —
Mam ja wprawdzie cudnych pereł sporo,
Ale nie mam takich, jak twe oczy,
I koniecznie mi się ich zachciéwa.
Wypłacz-że je we mnie, a wnet daléj
Pójdziesz sobie powierzch mojéj fali."

—„O mój Boże! — jęknie nieszczęśliwa, —
Oczy?!... cała we łzach się rozpłynę,
Jeśli stracę drogą mą dziecinę!" —
I łez strumień z oczu jéj się toczy;
Łez nie stało, krew z nich wreszcie płynie;
Z krwią i łzami wypłakane oczy
W perły się zmieniły w wód głębinie.

I jezioro dotrzymało słowa;
Suchą nogą przeszła po niém wdowa.
Już w ogrodzie śmierci ślepa stoi,
I wyciąga ręce poprzed siebie,
I wciąż woła: „o! na Boga w niebie,

Czy nie widział kto dzieciny mojéj!?
Czy nie widział, gdzie się śmierć ukrywa,
Co mi ją ukradła niegodziwa?!“

—„Niéma jéj tu jeszcze, — rzecze na to
Służebnica śmierci osiwiała, —
Nie wróciła; lecz za swoją stratą
W jaki sposób tyś się tu dostała?
Jak ze śmiercią mogłaś pójść w przegony?”

—„Bóg mię przywiódł, — rzecze matka biedna, —
Bóg, w dobroci swojéj niezmierzony!
On i wasze serce tak mi zjedna,
Że się troski mojéj użalicie,
I powiécie, gdzie jest moje dziécię?!

A jéj na to śmierci posługaczka:
—„Serce moje tutaj nic nie nada,
Choćbym ci dopomódz była rada;
Bo ja nie znam twego jedynaczka,
A twe oczy także nie usłużą.
Drzewek, kwiatów zwiędło dzisiaj dużo,
I wróciwszy, śmierć je poprzesadza,
Skąd ich żadna już nie wyrwie władza.
Wszakże musisz o tém wiedziéć przecie,
Że każdego żywot tu człowieka
Tkwi zaklęty w drzewie albo kwiecie;

Lecz bądź jaką postać przyobleka,
Czy się w dębie, czy się w trawce kryje,
W tém i owém żywe serce bije.
Zbierz-że w słuchu całą duszy władzę,
A odgadniesz może śród tych ziołek,
Z bicia serca, w którém twój aniołek?
Ale nim cię w ogród zaprowadzę
I nauczę przeciw śmierci środka,
Powiedz, jaka mię nagroda spotka?
Co dasz za to?"
— „Biadaż mojéj głowie! —
Rzewnym jękiem matka jéj odpowie,—
Nic ja nie mam, prócz téj biednéj duszy,
Co się z żalu i boleści kruszy...
Chyba pójdę dla cię na kraj świata."

— „Cóż mi po tém? licha to zapłata!
Wolę śliczne, czarne kosy twoje.
Oddaj mi je, niech się w nie ustroję
I przypomnę wdzięczne młode lata;
Mój zaś warkocz, śnieżnie ubielony,
Niechaj twoim krasnym licom służy,
Niby motyl biały świeżéj róży,
Albo pannie młodéj jéj welony."

— „O, z ochotą! — woła ta, — z ochotą!"
I wnet bujne, lśniące jéj warkocze

Starowiny zwiędłą skroń oplotą,
A na własne czoło jéj urocze
Tamtéj osiwiałe włosie spada,
I na plecy, piersi i ramiona
Niby srebrna toczy się kaskada.

—„Pojdźmyż!” — rzecze baba ucieszona,
I za rękę wziąwszy, wiedzie wdowę
W dziwne państwo śmierci ogrodowe.

Jak wzrok sięgnie, cudna okolica,
Niby istny ziemski raj wesoły,
Barwny, wonny, oczy twe zachwyca;
Tu się w niebo piętrzy, tam w rozdoły
Tajemnicze, dzikie, się zapadła,
Owdzie gładką ściele się równiną;
Po niéj srebrne strugi z szmerem płyną,
Ciche jezior świecą się zwierciadła,
I o skał się rozbijają głowę
Wodospady w deszcze brylantowe.;
A rozdoły, góry te i błonie,
I wybrzeża mokre, i wód tonie,
I urwiska wszystkie dookoła,
Strojne w drzewa, krzewy, kwiaty, zioła,
Albo we mchu barwne aksamity.
A od dębów, co pod niebios szczyty



Stanie nagle znowu przy jeziorze...

Nieugięte czoła wznoszą dumnie,
Do ździebełek trawy, która tłumnie
W jednę się poziomą ciżbę miesza,
Niezliczona owych roślin rzesza,
Jest to istnień ludzkich zbiorowisko;
Każda z nich człowieka ma nazwisko,
Co gdzieś żyje na obszarach świata,
I z losami jego tak się splata,
Iż mu żywot w taki sposób płynie,
W zdrowiu, w mękach, w doli lub niedoli,
Jak w ogrodzie śmierci, z Bożéj woli,
Dano jego krzewić się roślinie.
Ona wschodzi — na świat on przybywa,
Ona ginie — on téż dogorywa.

Jedne więc z nich czerstwe, pełne siły,
Zdobne w liście świeże, w kwiat uroczy,
Lub owocem pysznym nęcą oczy;
Inne znowu — o mój Boże miły! —
Wyniszczone, wątłe, liść ich rzadki,
W pączkach zwiędłe i ponikłe kwiatki;
Tym obsiadły korę mchy i pleśnie,
Owym listki gąsienica spasa,
Inne robak podgryzł i przedwcześnie
Już ich młodociana zmarła krasa;
Tym opalił piorun harde czoła,

Tamte zgiął lub złamał wicher srogi;
Z jednych soki pasożytna ssie jemioła,
Drugie biedne, ścieląc się pod nogi
Drzew potężnych, pośród wiecznych cieni,
Pozbawione rosy i promieni,
W lichéj glebie, z któréj żyzność całą
Tych olbrzymów plemię wyczerpało,
Wloką smutny żywot, jak czerń ona,
Co śród ludzi nieraz z głodu kona...
Lecz o dziwy! tutaj gdzieś na skale,
W rozpadlinie, bez garsteczki ziemi,
Swierk lub sosna wznosi się wspaniale,
Konarami szumiąc potężnemi;
Tam znów, z pośród cierni i pokrzywy
Cudny kwiat wystrzela, bujny, żywy;
Gdy tymczasem indziéj, na przestworze,
W gruncie żyznym, pulchnym, czy krzewina,
Czy to trawka drobna, choć jedyna,
Od poziomu podnieść się nie może,
I usycha, choć ją poi rosa
I łagodne świecą jéj niebiosa!

W tym ogrodzie sługa śmierci wdowę
Wprowadziła między grządki owe,
Których każda trawka, ziołko, kwiatek,
Były żywotami małych dziatek.

I przez kręte wiedzie ją drożynki
Zwolna od roślinki do roślinki;
A ta drżąca, niecierpliwa, blada,
Uchem, sercem do nich się przykłada,
I skupiwszy w słuch całego ducha,
Całą macierzyńską miłość, słucha,
Słucha — rzekłby kto — jak trawa rośnie!
Słucha... słucha... (Boże mój jedyny!)
Skąd się ozwie serce jéj dzieciny?

Nagle z krzykiem rzuci się radośnie:
—„O mój synku! o dzieciątko lube!"
I wyciągnie rękę, gdzie malutki
Zwiesił główkę kwiatek niezabudki.

—„Ani tknij go! bo przyśpieszysz zgubę! —
Krzyknie śmierci służebnica na nią. —
Stój i czekaj tu na moję Panią,
A jak przyjdzie, broń, by jéj zbójecka
Dłoń nie tknęła kwiatka twego dziecka;
Zagroź, że jéj w zemsty swéj zapędzie
Wszystkie inne zniszczysz na téj grzędzie.
Ulękniona tém, odstąpi może;
Ma bo mocne nakazanie Boże
Strzedz, by żaden kwiatek na téj roli
Nie znikł, póki sam On nie pozwoli;

Dba więc o nie, jak o własne zdrowie,
Bo inaczéj — biada-by jéj głowie!”

Ledwie rzekła, wiatr zaszumiał mroźny,
Drgnęły na drzewinach wszystkie liście,
Drgnęła ślepa, czując śmierci przyjście.

—„Co tu robisz? — głos zawołała groźny, —
Jakeś tu trafiła przy ślepocie,
I mnie samę wyścignęła w locie?”

—„Matką jestem! dziecka swego bronię! —
Rzecze ślepa, i obiedwie dłonie,
Niby skamieniałe, silne, niewzruszone,
Choć w niéj dusza drży ze strachu wszystka,
Wzniesie ponad kwiatkiem jak zasłonę,
Ale tak ostrożnie, że ni listka
Nie omuśnie, dbała o dziecięce
Życie. Z gorzkim śmierć uśmiechem,
Zionie tylko na nią swym oddechem,
I opadną matki nieszczęśliwéj ręce,
Nagle w lód zakrzepłe!
—„Nadaremno, —
Smierć jéj rzecze, — chcesz ty walczyć ze mną,
Ej, nie zmożesz!“
—„Ale Bóg cię zmoże!”
Jęknie matka.



I obiedwie dłonie wzniesie ponad kwiatkiem.

—„Wszak ja tylko Boże
Rozkazanie pełnię, gdy to czynię,—
Znów śmierć rzecze do zbolałéj matki, —
I te tylko, co On wskaże, kwiatki
Stąd zabieram, aby tam, w krainie,
Któréj z żywych nie zna nikt na ziemi,
Pozasadzać je na rajskiéj błoni;
Lecz co daléj tam się dzieje z niemi,
O tém już powiadać Bóg mi broni.”

— „Nie chcę, nie chcę! o twój raj nie stoję!
Tu mi oddaj lube dziecię moje! —
Krzyknie matka — oddaj! bo inaczéj
Wszystkie powyrywam!” I w rozpaczy
Porwie w garście dwa na oślep zioła.

— „Stój szalona! — gniewnie śmierć zawoła, —
Czyliż na to stanie serca tobie,
By w boleści swojéj i żałobie
Zaprzepaścić duszę drugiéj matki?!”

— „Matki?!“ — szepnie wdowa przerażona,
I wnet puści wprzód ujęte kwiatki,
I bezwładnie zwisną jéj ramiona,
I ku piersiom głowa się pochyli,
I łez strumień hojniéj się potoczy.

— „Słuchaj! — rzecze znowu śmierć po chwili, —
Oto ci oddaję twoje oczy,
Które wyłapałam, idąc przez jezioro,
Gdzie jak gwiazdy lśniły nocną porą.
Weź je; teraz jeszcze lepiéj świécą;
A ja cię postawię nad krynicą,
I w jéj głębi ujrzéć ci pozwolę
Dwóch wybranych kwiatków przyszłą dolę.“

I przejrzała matka, i już tonie
Wzrokiem w głębie zdroju kryształowe;
I zamiera dech jéj w drżącém łonie,
I ogarnia zawrót biedną głowę!
O, bo jakież tam ogląda dziwy!...
Obraz wyrazisty, jasny, żywy,
Dwóch żywotów ludzkich: jeden płynie,
Jak zdrój czysty w rajskiéj gdzieś krainie,
Śród rozkosznych wonnych ziół i kwieci,
I pogodą cudną niebios świeci;
A co tylko szczęściem człowiek zowie:
Miłość, chwałę, radość, spokój, zdrowie
I swobodę myśli, i wesele,
I błogosławieństwo z każdéj strony,
I wiek długi dostać miał w udziele
Żywot, z piérwszym kwiatkiem skojarzony.

W drugim — zgroza! — widzi, jak pacholę,
Wypieszczone ciepłą matki dłonią,
Po jéj stracie losy przez świat gonią,
Niby wichry suchy liść przez pole:
Nikt go nie przygarnie, nie ukocha,
Wszyscy poją łzami, karmią wzgardą,
A niedola, jak ta zła macocha,
Ciągle je potrąca ręką twardą.
W głodzie, w nędzy, w trudach, śród ciemnoty,
Z pacholęcia stawszy się młodzianem,
Z sercem w dzikich żądzach rozpasaném,
Nieznający Boga, prawdy, cnoty,
W błocie się rozpusty brudnéj tarza,
Rozbestwiony, jak drapieżne zwierzę;
Aż z nędzarza wyjdzie na zbrodniarza,
Pozna dyby, kije i pręgierze,
I syt hańby, w młodociane lata,
Nędzną głowę da pod topór kata.

Ona patrzy, patrzy na te dzieje,
I strach zimny ją za serce chwyta,
I drży, zjęta zgrozą, i truchleje,

— „Czyjeż to są losy...? — wreszcie spyta —
Czyj ów żywot, pełny szczęścia, chwały?
Czyj ów drugi, w nędzy, w hańbie cały?”

— „Tego ci nie powiem — śmierć odeprze, —
Komu gorsze padnie, komu lepsze;
Lecz na pewno możesz wiedzieć o tém,
Że ze dwojga jedno jest żywotem
Twego dziecka.”
— „Mego! — krzyknie wdowa, —
Mego!” — i na ustach zamrą słowa,
I mgłą zajdą osłupiałe oczy,
I pot zimny z czoła się potoczy;
Bo ją nagle straszna myśl ogarnie,
Że sromoty owe i męczarnie,
Których obraz krew jéj w żyłach ścina,
Może dostać w dziale ta dziecina,
Luba ta pieszczotka jéj rodzona,
Co ją śmierci pragnie wydrzéć ona,
Co się za nią oto tak rozpada,
Zdrowie, życie, duszę oddać rada!
Cóż, gdy swą rozpaczą śmierć poruszy
I od rajskich bram zwrócone dziecię
Sama, sama rzuci na tym świecie
Na łup nędzy, hańby i katuszy?!...

Tu dopiéro owa miłość święta,
Co już zniosła, wycierpiała tyle,
W swéj najwyższéj się objawia sile.
Jéj cudowną mocą przeniknięta,



Oto już z pokorą głowę chylę.

Nad naturą ludzką górę bierze,
I nie łzy już, krew i życie święci
Za najmilsze dziecię swe w ofierze,
Ale własne najgorętsze chęci.
I nie myśli dłużéj walczyć o to,
By się nie rozłączyć z swą pieszczotą,
Tylko, zjęta strasznym niepokojem
O jéj przyszłość, rzuci się ze łkaniem
Do nóg Śmierci:

— „Czyń z dzieciątkiem mojém,
Co chcesz sama, byle mi się na niém
Nie spełniła wróżba ta złowroga,
Com widziała w głębi téj krynicznéj!...
O! weź raczéj ten mój kwiatek śliczny,
Weź i zanieś do ogrodu Boga,
A zapomnij wszystko to, com w szale
Swéj rozpaczy, słowem, albo czynem
Zbluźnić mogła: groźby, prośby, żale,
Łzy i jęki! i nad tém jedyném
Mém dzieciątkiem, ach, bądź litościwa!”

— „Cóż mam czynić? — śmierć się znów odzywa, —
Wam-li oddać lube wasze dziecię,
Czy téż tam je zabrać, gdzie nie wiecie?” —

Zadrży kochająca matka, przeniknięta

Skróś bojaźnią Bożą, i ramiona
Wznosząc w niebo, woła z głębi duszy:

— „Boże, Boże! o niech Cię nie wzruszy
Głos tych modlitw grzesznych, com ich tyle
Z łez gorących nieprzebranym zdrojem
Ci zaniosła za dzieciątkiem swojém!
Oto już z pokorą głowę chylę
Przed wyroki twemi! Panie, Panie!...
Niech się twoja święta wola stanie!...
O nie usłysz mię! nie usłysz, Boże,
Jeślim z przeznaczeniem twojém w sporze!
O nie usłysz! bo my w chęciach ślepi,
A co Ty nam dajesz, z tém najlepiéj!" —

I upadła na twarz, korna święcie...
A śmierć w zimnych dłoni swych ujęcie
Zagarnęła kwiatek jéj rodzony
I uniosła go w nieznane strony.

SIOSTRA ANIELA.



SIOSTRA ANIELA.

SIOSTRA ANIELA.

Na dalekiém Południu, kędy wieńce splata
Wdzięczna winna latorośl, kędy w dawne lata
Brzmiały pieśni rycerskie, gdzie wykołysane
Urocze dziecię Francji, co, Romansem zwane,
Jest zarazem poetą, rycerzem, aniołem, —
Niegdyś swój wędrowniczy namiot rozwinąłem.
Ziemia tchnęła gorącą pogodą czerwcową;
Błękitne letnie niebo ponad moją głową,
Żadną chmurką nieściemione, pałało wspaniale;
Żaden wietrzyk nie mącił powietrznéj głębiny;
Cisza, spokój dokoła, i tylko jedyny
Głos, westchnienie, szemrzące wydawały fale,
Srebrną pianą spadając na wybrzeża piaski
Tam, kędy ustrojone w purpurowe blaski,
Pyszne Śródziemne morze, igrając przy ziemi,
Miłośnie całowało ją usty drżącemi.

Cisza, spokój. Wtém dzwonów harmonijne brzmienie,
Na chwilę uroczyste przerwawszy milczenie,
Drżąc, skonało w powietrzu... I znów nic nie słyszę;
Rzekłbyś, wszystko zapadło w jeszcze większą ciszę.
Spójrzałem, zkąd dźwięk płynął? Pośród drzew zieleni,
W któréj napół przed wzrokiem wędrownika ginie,
Klasztor śnieżną białością murów się promieni.

Ktoś, co długi wiek przeżył w téj pięknéj dziedzinie
Starych podań i pieśni, ktoś, co znał dokładnie
Dzieje każdego wzgórza i każdéj doliny,
Wszystkie dziwy i cuda téj cudów krainy,
Kędy jeszcze dziecięca żywa wiara władnie,
Ktoś, co sam je z dziecięcą rad przyjmował wiarą,
Taką mi tam legendę opowiedział starą.

Niegdyś, stojąc śród gęstéj kwiecistéj dąbrowy,
Klasztor ów jeszcze większym się otaczał cieniem,
I znalazł, wkoło wonném drzew owiany tchnieniem
„Matki Boskiéj śród głogów” tytuł w nich gotowy.
Wówczas odgłos tych dzwonów, co się dotąd szerzy,
Całą tę okolicę, brzmiąc z klasztornéj wieży,
Budził, wzywał do pracy, chleba i modlitwy;
W murach jego świątyni, w przeddzień krwawéj bitwy,
Nie jeden dumny rycerz z pokorą się stawił,
I przed jutrem wyroczném noc na modłach trawił.

Czy w lepiankach ubogich niezgoda domowa,
Czy we wsi jakie zajście pomiędzy sąsiady,
Przełożona wnet cudem serdecznego słowa
Umiała wszystko zjednać, wszystkiemu dać rady.
A tym, którym złość ludzka lub miłość zdradzona
Srogim jadem zatruła biedne serce młode,
Jeśli do niéj po radę przyszli, zawsze ona
Zdołała i otuchę przynieść, i osłodę.
Ile razy bywało, czy pielgrzym zdrożony,
Czy biedak jaki stanął u klasztornéj brony,
Każdy miał gdzie przytulić skołataną głowę,
I posiłek, i wsparcie znajdował gotowe.
Nadto zaś dobrze wiedział blizki i daleki,
Że siostrom znane były tajemnicze leki,
I z cudownéj swéj mocy szeroko dokoła
Słynęły w owym kraju ich maście i zioła.
Każdy więc — miłość, boleść, waśń, zły los, czy błogi,
Po ulgę, pomoc, radę szedł w klasztorne progi.

Lecz żadnéj nie widziano w sióstr tych gronie całem,
Coby tak piękną była i duszą i ciałem,
Miała taki wzrok jasny, tak słodkie uśmiéchy,
Taką w licach pogodę, chód tak lekki, cichy,
Taki czysty i dźwięczny głos ku chwale Boga,
Coby innym być mogła tak miła i droga,
I litości serdecznéj czuć dla bliźnich więcéj

W bólach, obcych jéj w cichym młodych lat rozkwicie,
I wiarę taką żywą w duszy tak dziecięcéj,
Jako Siostra Aniela, to „klasztoru dziécię”,
Jak one ją nazywać lubiły. Jéj cała
Rodzina, dom ojczysty, miłość, radość, chluba,
W nich były, żadnych innych w życiu swém nie znała,
Im oddana w kolebce sieroteńka luba,
Pieszczoszka, wychowanka potém ukochana,
Wreszcie oblubienica już Chrystusa Pana.

Ona-to strzegła lampy, co w hołd nieustanny
Przed ołtarzem Przeczystéj promienieje Panny;
Jéj-to ręce dziergały kunsztowne desenie
I misterne koronki, niezrównane w cenie.
Lecz najpiérwszém, najmilszém zajęciem Anieli,
Którego nigdy nie zda, z nikim nie podzieli,
Jest to, że codzień z kwiatów wonnych wieńce wije,
By w nie stroić w ołtarzu Najświętszą Maryję.

A natura w tym kraju tak dziwnie bogata,
Że go nawet i zimą kwietna zdobi szata,
Co dla siostry Anieli stało się zachętą,
Że cudny kalendarzyk ułożyła sobie
W pamięci, w którym każde uroczyste święto
Z takich kwiatów zazwyczaj wyrażały głoski,
Z jakich w dniu tym zwijała wieńce ku ozdobie
Ołtarza Przenajświętszéj Rodzicielki Boskiéj.

Świetnym więc korowodem, niezliczonym rojem
Ciągną się róż zastępy, każdy z własném swojem
Znamieniem: tu ognista, tu się purpurowa,
Biała, żółta, różowa chorągiew rozwija;
Aż nowo-narodzona powstanie królowa
I wszystkie razem zaćmi dziewicza lilija.
Zdaniem wszakże Anieli, nad inny kwiat wszelki,
Milszym, droższym był sercu Bożéj Rodzicielki
Jéj własny głóg. Tak tedy, jak rok Boży długi,
Dziewica, nieznużona śród świętéj posługi,
W kwietnéj owéj krainie mając kwiatów siła,
Co wieczór dla Najświętszéj Panny wieńce wiła,
I w modłach upadając przed świętym obrazem,
Myśl tak czystą, jak czyste onych kwiatów wonie,
Posyłała w niebiosa z wonią kwiatów razem,
I gdy dusza jéj w błogiém zapomnieniu tonie,
Klęczała tak, aż w mroki świątynia zapadła,
Aż się jeden za drugim ołtarze zażegły,
Aż się jedna za drugą, jak senne widziadła,
Śpiewać hymny wieczorne zakonnice zbiegły;
Wówczas i jéj głos z myślą ku Niebu się wzbija
I wpośród nocnéj ciszy brzmi „Ave Maria!"

Lecz któż się w niezmąconym pokoju uchowa?
Żegnaj ciszo, gdy burza nadciągnie gromowa!
Wojna, okropna wojna, mordy i płomienie

Wniosła w ten kraj, a wkrótce jéj ogniste tchnienie
Zawiało i w dziedzinę klasztoru onego.
Codzień z jękiem i płaczem tam wieśniacy biegą,
Przynosząc z sobą wieści, pełne wielkiéj trwogi,
I żebrząc o schronienie przed dzikiemi wrogi.

Aż raz po walce, zaszłéj w stronie niedalekiéj,
Zbrojny oddział się zjawił w klasztornéj zaciszy,
Wołając o przytułek, opiekę i leki,
Dla rannych, konających swoich towarzyszy.
Prosili o ratunek wprawdzie w Imię Boże,
Ale tak, jak ten prosi, co rozkazać może,
I złożywszy z pośpiechem z ramion krwawe brzemię,
Odeszli. Zakonnice, jakby wryte w ziemię,
Stały chwilę, nie czując z przerażenia duszy;
Lecz się wnet litościwe serce w nich poruszy:
Do pracy Przełożona wszystkie siostry woła,
Wydobyto bandaże, szarpie, maście, zioła;
Przy tych, co się w najsroższéj pasowali męce,
Najbieglejsze użyto do roboty ręce,
Ale rannych jest tylu, rąk trzeba tak wiele,
Że i młodsze, mniéj wprawne, mają coś w udziele.
Anieli téż, choć dobra chęć i litość żywa
Braku umiejętności u niéj nie pokrywa,
W opiekę jeden młody rycerz był oddany,
Ze względu, że najlżejsze odniósł w boju rany.

Dzień i noc pilnie przy nim czuwała nieboga.
Zrazu w głuchém milczeniu godziny mijały,
Ciszę zakłócał chyba jego jęk zbolały,
Lub jéj rzewne, serdeczne westchnienie do Boga.
Aż oto przyszła ulga. Dni za dniami płyną,
Lecz już ciszy ponuréj mniéj z każdą godziną.
O czémże-by mówiła ta dziewica-dziecię,
Co nic a nic o Bożym nie wiedziała świecie?
Z razu, słysząc jak chory jęczy i boleje,
Męczenników mu świętych powtarzała dzieje,
Tłómacząc, jako łaska Boża przez cierpienia
Duszę ludzką świętości blaskiem opromienia.

Kunszt pobożny się przydał na coś, Bogu dzięki, —
Tak przynajmniéj mniemała, bo ucichły jęki.
Jęła więc opisywać z prostotą dziecięcą
Przepych, z jakim Wielkanoc zakonnice święcą,
Jaki przybór klasztornéj świątyni bogaty,
Złoto, perły, chorągwie, kielichy, ornaty,
I jak wiele jarzących świec w niéj zwykle gore;
A potém, jaką postać wielki ołtarz bierze,
Jak się zdobi w Bożego Narodzenia porę,
Jaki żłobek, królowie, bydło i pasterze,
Święty Józef, Marya z Dzieciątkiem na łonie
I gwiazda brylantowa, co nad nimi płonie.
Potém mu powiadała o dziwnym dowodzie,

Który wszystkie widziały siostry, jako całe
Przyrodzenie oddaje swéj Królowéj chwałę:
Bo gdy w święto ostatnie, w klasztornym ogrodzie
Szła procesja, gdy całém zakonnice gronem
Liczyły swój różaniec z czołem uniżonem,
Chorągwie, rozwinięte ponad naszę głowę
Omusnęły kwitnące gałęzie głogowe,
A wnet kwiecia i pączków spadła chmara cała
I drogę Matki Bożéj wspaniale usłała.

Ona gwarzyła, rycerz słuchał nieznużony;
Aż wreszcie jął powiadać jéj ze swojéj strony,
Wspominając własnego życia sławne dzieje:
Igrzyska i parady, i świetne turnieje,
I damy, jaśniejące uroczemi wdzięki,
Co zwycięzcom rozdają nagrody z swéj ręki.
Ona słucha z zachwytem powieści rycerza,
Słucha, słucha, lecz dziwnym słowom nie dowierza.
— „Czyliż — woła zdumiona — czyliż, o mój Boże,
Ten szczęścia i miłości raj światem być może?
Gdzież tu owa pokusa, piekielną otchłanią
Grożąca tym, co spojrzéć się ośmielą na nią?"
A więc żegna się z trwogą, jak od złego ducha,
Lecz znów bada ciekawie i znów pilnie słucha.
I znów rycerz maluje słowy uroczemi
Świat uciechy, a wszystkie uciechy na ziemi
Owiewa jednym złotym miłości obłokiem.

Rozwiń, rozwiń co rychléj twe promienne skrzydła,
Jasny Aniele-Stróżu! zakryj przed jéj okiem,
Przed jéj duszą niewinną, zgubne te mamidła!...
Próżno, próżno! Czas mija w biegu niestrudzony,
Na jutrznią, na nieszpory dzwonią święte dzwony;
Zakonnicom bezpiecznym, w pracy, modłach, pieśni,
Wcale się ta zdradliwie zwikłana sieć nie śni,
Co wciąż mocniéj i mocniéj w straszne swoje sploty
Usidla biedne serce ich drogiéj pieszczoty;
Bo się krząta, jak dawniéj, pracy swojéj rada,
Bo w niéj żadnéj na pozór nie widać odmiany...
Żadnéj?... ach nie! bo nawet, gdy na klęczki pada,
Gdy w modłach w Niebo patrzy, sen jakiś różany,
Uroczy, tuż nad ziemią serce jéj kołysze...

Czas płynął, aż nareszcie raz śród nocnéj ciszy
Lekko skrzypnęła brama w uśpionym klasztorze...
I któż-by śmiał wyjść za nią w tak spóźnionéj porze?...
Widać było przy blasku miesięcznych promieni,
Jak dwie jakieś postacie ukradkowym krokiem
Przemknęły przez dziedziniec cicho, nakształt cieni,
I wszystko znów dokoła w milczeniu głębokiém,
Morze tylko coś jęczy i coś szemrze zcicha,
I śród głogów kwitnących wiatr żałośnie wzdycha.

Trzebaż mówić o śnie tym, tak jasnym a krótkim,
Niezakłóconym trwogą, ni bólem, ni smutkiem?

Trzebaż mówić, jak wszystkie sny te blednąć muszą
Przed zwątpieniem złowrogiém, co owłada duszą,
Przed mrokiem, co wciąż gęstszy i gęstszy dokoła,
Aż już przepych, bogactwo, roskosz — nic nie zdoła
Dać zapomniéć przeszłości, zbyć się srogiéj męki,
Zagłuszyć niewczesnego żalu ciche jęki!
Jeszcze śnić, jeszcze marzyć, wciąż pragnęła ona, —
Próżno! zasnąć nie mogła, raz już obudzona!
Przejrzała i spostrzegła nieszczęśliwa jasno
Nicość duszy, dla któréj znicestwiła własną!
Poznała przez wewnętrzne z sobą walki krwawe,
Marną miłość, dla któréj życie jéj zmarniało,
Sen złudny, co mu błogą poświęciła jawę,
Ziemskie szczęście, niebieską okupione chwałą!
Lecz cóż po tém? niestety! gdzież się znajdzie serce,
Co się schyli, by dźwignąć ją w téj poniewierce?

Lata biegły, a jaki los ją ścigał srogi,
Na co zeszła, na opis tego słów nie stanie!
Najuboższe się przed nią zamykały progi,
A kędy przechodziła, z dumą piękne panie,
Z dreszczem wstrętu i wzgardy, śnieżną swoją dłonią
Szat strzegły, by się czasem nie otarły o nią.
W końcu duszę jéj wielka przejęła tęsknota,
Pociąg jakiś gwałtowny, niczém niezmożony,
Choć raz jeszcze, raz tylko ujrzéć owe strony,

Gdzie z nią były i młodość, i szczęście i cnota,
Gdzie ją siostry kochane zwały swą pieszczotką,
Raz jeszcze pod klasztornym dachem spocząć słodko
I umrzéć, umrzéć wreszcie!
Znękana, znużona,
Wstyd, żal, trwogę, zwątpienie, jak straszne brzemiona,
Dźwigając w głębi duszy, o żebranym chlebie,
Wlokła się nieszczęśliwa na oślep przed siebie,
Choć stopy, utrudzone dni wielu podróżą,
Coraz, coraz oporniéj chęci serca służą.
Aż w końcu... o radości!... raz, gdy ranne zorze
Piérwsze blaski rozlały po świata przestworze,
Ujrzało jéj słodkiemi łzami zaszłe oko
Jasną, błękitną morza płaszczyznę szeroką
I, między zielonemi bielejący głogi,
Jako niegdyś, przed laty, ów jéj klasztor drogi!

Czyliż ją tam poznają?... O, nie! nie, zaiste!
Próżna trwoga! bez śladu znikły z jéj oblicza
Wdzięk, i radość, i młodość, i świeżość dziewicza,
Jakiemi niegdyś serce szczęśliwe a czyste
Ozdabiało Anielę, dziecię ich kochane...
Zadzwoniła do furty... Dźwięki dobrze znane
Uderzyły w jéj duszę, na twarz rozpostarły,
I płacz, płacz, przez trzy lata w łonie jéj zamarły,
Nagle w rzewnych łez hojne wybuchnął strumienie...

Strach i boleść jakgdyby przecięły w niéj tchnienie
I serce zatrzymały, w oczach pociemniało,
Dreszcze zimne ją przeszły... Śmierć-że to, o Boże!?...
Tuląc się do żelaznéj bramy przy klasztorze,
Oparła o jéj sztaby głowę swą zbolałą
I modliła się biedna... Aż wtém bliżéj, bliżéj,
Rozlega się za murem odgłos kroków chyży
I ustał... zaskrzypiały i opadły kraty,
I siostra fórtyanka, taż co i przed laty,
Z bladą twarzą, gdzie litość i żałość wyryta,
— „Czego żądasz niebogo?" — słodkim głosem pyta.
— „Wpuść mnie, siostro Moniko! — jęknie z gorzkim płaczem —
Ukryj mię od rozpaczy, grzechu, bólu, znoju,
Co się nigdy nie skończą w mém życiu tułaczém!
Wpuść mnie, błagam, i pozwól umrzéć tu w spokoju!"
— „Czekaj chwilkę — odrzecze jéj czułemi słowy, —
Pójdę po klucz od bramy i wrócę z pośpiechem."
Żebraczka jéj dziękować chciała, ale nowy
Łez wybuch mowę zalał i już tylko echem
Dalekiém tętnią kroki, co się wstecz zwróciły.

Fórtyanka odeszła. Czyj-że to głos miły
Tuż przy niéj śród wieczornéj rozlega się ciszy,
Co go z dziwną, ze świętą jakąś trwogą słyszy?
Wzniosła głowę i widzi... przed nią zakonnica...
Znane jéj, choć mgłą niby przesłonione lica...

Któż to jest? któż to taki?... Boże! wszak to ona,
Ona sama! nie taka, jaką z dziewic grona
Uszła w świat, jako wonne kwiecie, świeża, młoda,
Lecz niewiasta poważna, u któréj pogoda
Czystéj duszy i słodycz wielka świeci z czoła,
Jaką ona-by mogła stać się nieszczęśliwa!

Wtém gdy patrzy i patrzy, nagle dookoła
Dziwna jakaś, cudowna światłość się rozléwa,
I... zamiast zakonnicy, oczy jéj ujrzały
Postać, nad któréj głową jasny łuk się złoci,
Cudny, promienny wieniec wiekuistéj chwały,
A w licach tyle łaski, litości, dobroci!
— „O Maryo Najmilsza! — wykrzyknie nieboga,
Wyciągając ku Pannie Najświętszéj ramiona —
Ratuj mię! ratuj dziécię swoje, matko droga!”
A Marya odrzecze: „Witaj powrócona
Błędna moja dziecino! witaj w moim domu!
Jam tutaj zastąpiła ciebie i nikomu
Twa ucieczka nieznana; wszystkie służby twoje
Ja spełniam: ja tu ołtarz w wonne kwiaty stroję,
I modlę się, i śpiewam, i sypiam za ciebie;
Miejsce twe zatrzymane dla cię, biedne dziecię.
Dobre są tutaj serca, lecz najlepsze w świecie
Mają swoje granice; jeden Bóg na Niebie
Nie zna ich w swéj dobroci. Ludzkie przebaczenie

Bywa słodkie i szczere, ale uniżenie
Prosić o nie i zgiąć się nieraz pod niém trzeba.
Większą jest owa Miłość, co ci sama z Nieba
Przebaczenie podaje i prosi, byś po nie
Wzniosła wreszcie ku górze chętne swoje dłonie;
Bo jedno tylko Bozkie wielkie przebaczenie
Znaczy nie poniżenie, ale podniesienie.”

Śpiesznie wraca Monika, rękoma drżącemi
Rygle bramy odsuwa... lecz gdzież jest, o Boże,
Żebraczka, co tam, jęcząc, leżała na ziemi,
Dla któréj obmyślała posiłek i łoże?
Gdzież ta blada niewiasta? Odeszła! do kraty
Z lasu wraca Aniela z głogowemi kwiaty.

Odtąd siostra Monika gorzko wzdycha co dnia,
Powiadając, że straszna cięży na niéj zbrodnia,
Bo snadź szła nie dość śpiesznie po klucz i podróżną
Zraziła myśl bolesna, że czeka napróżno!
I gorąco pomocy wszystkich świętych wzywa,
Aby nędza, i boleść, i rozpacz straszliwa
Do ostatniéj niebawem zguby nie przywiodły
Téj nieszczęsnéj istoty! A gdy, kończąc modły,
Woła: „Zlituj się nad nią, miłosierny Boże!”
„Amem.” Siostra Aniela dodaje w pokorze.

I znów lata minęły. Aż przyszedł nareszcie
Dzień okropny! Dziewice, padłszy na kolana,

Gorzko, rzewnie płakały przy łożu boleści,
Gdzie leżała Aniela, siostra ukochana,
Blada, pod ciężką śmierci ledwie dysząc dłonią.
Wtém się nagle rumieńcem lica jéj zapłonią...
Wzniosła białą swą rękę, wątłą, wycieńczoną,
Znak dając, że chce mówić. Całe dziewic grono
Wnet ucichło, z miłością wielce rozbolałą,
Bez jęku, bez tchu prawie, i wkoło nastało
Tak wielkie, tak zupełne, głębokie milczenie,
Że nawet drżące gromnic stanęły płomienie:
W takiéj cichéj czci siostry, pochyliwszy czoła,
Słuchały słów ostatnich swojego anioła.

I w téj chwili Aniela smutne dzieje swoje:
Grzech, ucieczkę, zgryzotę, i walki, i znoje,
I powrót—wszystko, wszystko wyznawszy im w skrusze,
Cichym, jasnym, spokojnym głosem je wezwała:
„Módlcie się, drogie siostry, za mą grzeszną duszę!"

I pieśń święta ku Bogu wzbiła się, wspaniała,
Uroczysta, rozgłośna, wielka! płynie, płynie,
Aż wreszcie utonęła tam w Niebios głębinie.
Ale lica Anieli taka błogość ducha,
Taki cudny spokoju uśmiech opromienia,
Iż siostry zrozumiały, że już ona słucha
W Bożéj chwały przybytku anielskiego pienia.

Taki koniec legendy. Sądzę, że w swej treści
Jakąś głębszą, duchową tajemnicę mieści,
Że w niéj żyje nie tylko zbawienna nauka
O Boskiém przebaczeniu, co nas samo szuka,
Wtedy nawet, gdy prosić o nie już przestaniem,
Nie zdolni w nie uwierzyć, ni się poznać na niem...

Komuż z nas pośród nędzy i mroku żywota
Nie świeciła cudowna, jasna gwiazda złota
Ideału lepszego, zacniejszego bytu?
Któż nie widział jéj blasku oczyma własnemi,
Tak blizko, bliziuteńko, tuż prawie przy ziemi,
Że tylko sięgnąć było i zdjąć ją z błękitu?...
Tak było! ale, wirem żądz ziemskich porwani,
Straciliśmy ją z oczu w powietrznéj otchłani,
I dziś smutni, sterani w tego życia nędzy,
Próżnym żalem jątrzymy ciężką serca ranę...
A jednak nasze miejsce, dla nas zatrzymane,
Czeka, aż na nie wrócim, czy późniéj, czy prędzéj;
Bo nie gaśnie ujrzane raz już światło Boże,
I człek, czém mógł-by stać się, zawsze stać się może.

NIEZABUDKA.



NIEZABUDKA.

NIEZABUDKA.

Był sobie niegdyś — w średnie wieki pono —
W warownym zamku na nadreńskiéj skale,
Potężny Baron z swą dostojną żoną,
Chciwy, okrutny. Klęli go wassale,
Srogiém drapieztwem jego wciąż nękani;
Ona zaś, matka sług swoich, nie pani,
Niby Opatrzność czuwała nad niemi,
I była istnym aniołem na ziemi.

Lecz na téj smutnéj gorzkich łez dolinie
Nie może trwałym być pobyt anioła:
Zesłaniec Boży, skoro Bóg nań skinie,
Wraca do Nieba i nikt go nie zdoła
Dłużéj zatrzymać; więc rychło i ona
Do anielskiego powróciła grona.
Lecz choć jéj pobyt trwał na ziemi krótko
Długo lud łzami rosił jéj mogiłę,

I pozostałe po niéj dziécię miłe
Nazwał pamięci kwiatkiem — Niezabudką.
Bo też i godną była tego miana
Córa, przez taką matkę wychowana
I wzbogacona przenajdroższym spadkiem
Cnót, których przy niéj była ciągłym świadkiem.
I była, niby istny kwiat majowy,
Tego zamczyska ozdobą jedyną,
I niby śpiewną miluchną ptaszyną,
W gnieździe drapieżnéj zamieszkałą sowy.

Baron, którego niegdyś owa święta
Małżonka w dzikim hamowała szale,
Odkąd ją stracił, stargał wszelkie pęta
Żądz swych bezecnych i, zapamiętałe,
Coraz to srożéj, gnębiąc lud zbiedzony,
Dni całe spędzał, już to na rozboje
Po okolicy wodząc knechty swoje,
Już z niwy jeszcze niezebrane plony
Depcąc poddanym, gdy z końmi i charty
Ścigał za zwierzem łowiec ten zażarty,
Co nigdy, nawet i w święte dni Boże,
Nie zaprzestawał téj dzikiéj rozpusty;
Choć przyrzekł, gdy go stygnącemi usty
Nieboszczka rzewnie zaklęła, że zmoże
Złe swe popędy, że świętéj Niedzieli

Nigdy znieważyć już się nie ośmieli,
I choć raz w tydzień, z ukorzeniem ducha,
W przybytku Pańskim Mszy świętéj wysłucha.
Przyrzekł, lecz jakby razem z tą niebogą
I przyrzeczenie jego w grób zapadło,
Nigdy w kościele nie postał ni nogą;
Bo go tam straszne ścigało widziadło —
Myśl, że zazwyczaj u świętych podwoi
Kilku żebraków nieszczęśliwych stoi;
Bo prędzéj sobie kęs-by wydarł serca,
Niżby dał biednym jałmużnę ten zdzierca.
Gdy więc tak trawił dni swego żywota,
W ponurym zamku biedna Niezabudka
Smutne godziny pędziła samiutka;
Bo nigdy gość tam nie zajrzy we wrota,
I nigdy, nawet w Święto Narodzenia,
Komin wesołym połyskiem płomienia
Ani rozgrzeje, ani nie ozłoci
Ścian, pełnych mroku, chłodu i wilgoci,
Ani téż nigdy gwar serdeczny ludzi
W grobowéj ciszy echa tam nie zbudzi.

Więc całą zimę biedna sieroteńka,
U zamarzłego siedząca okienka,
Pracą bywało smutny czas swój skraca.
A zacną była i świętą jéj praca,

Bo macierzyńskie wszystkie szaty stare,
Których już Baron nie miał sprzedać komu,
Krajała, szyła na dziecięcą miarę,
By późniéj niemi darzyć pokryjomu
Biedne sieroty; a choć rączką skrzepłą
Od chłodu nieraz ledwie igłą ruszy,
Na myśl, że biednéj dziatwie będzie ciepło,
Bywało ciepło i jasno w jéj duszy.
Lecz rychło skrzynię wyczerpała do dna
I już dla biednych nie miała nic zgoła!
Ile więc razy wyszła do kościoła,
A po zwyczaju, obdarta i głodna
Drogę jéj rzesza zabiegła nędzarzy,
Z żałosnym jękiem wyciągając dłonie;
To już myślała, że ze wstydu spłonie,
Szepcąc ze smutkiem: „niech was Bóg obdarzy!"
To téż bywało, wzrok utkwiwszy w ziemi,
Przez tłum ich, biedna, śpiesznie się przeciska,
I w murach swego skrywszy się zamczyska,
Długo się łzami zalewa gorzkiemi.

Raz po nieszporach — było to w Niedzielę —
Ujrzawszy, jak tych nieszczęśliwych wiele
Kościelnych schodów zalegało stopnie,
Ślepych, kulawych, schorzałych okropnie,
Którym z łachmanów widdać nagie ciało

I trąd oblicza wykrzywione szpeci,
A śród nich dziatwę, z nędzy już zgrzybiałą,
I starce, z głodu płaczące jak dzieci,
I matki biedne, do wyschłego łona
Tulące ledwie żywe niemowlęta;
Stanęła, wielkim żalem przenikniona,
Że im pomocy żadnéj dać nie zdoła,
I taką trwogą, takim wstydem zjęta,
Iż jéj odwagi zabrakło z kościoła
Wielkiemi drzwiami przejść pośród téj rzeszy.
Więc wstecz się cofnie i co rychléj śpieszy,
By przez zakrystją umknąć pokryjomu
I poprzez łąkę ztamtąd biedz do domu.

Biegnie, spłakana, drżąca, boleściwa,
A jéj duszyczka w Niebo się wyrywa,
Do matczynego tam się tuląc łona
I na swą dolę skarżąc rozżalona,
Na dolę, sroższą od doli nędzarzy,
Na których nawet spojrzéć się nie waży
I, jakby winą obarczona srogą,
Uciekać musi od nich skrytą drogą!
A gdy, tak myśląc, w łzach tonące oczy
Zwróci ku Niebu — stanie jakby wryta,
Bo dziw radosny ją za serce chwyta,
Bo przed nią obraz jéj matki uroczy

W wielkiéj jasności śród błękitów pływa.
Ona-to sama! ona, jakby żywa,
Patrzy się na nią i uśmiecha słodko,
I mówi do niéj:
„O moja sierotko!
Próżna twa żałość i skargi twe próżne;
Mylisz się, myśląc, żeś mi biedna taka,
Że już cię nie stać wcale na jałmużnę
I że uciekać musisz od żebraka,
Oczu nań podnieść nie śmiejąc we wstydzie.
Dar, miły Bogu i sercu nędzarza,
Nie tylko z ręki szczodrobliwéj idzie,
Ale i z duszy tego, co obdarza,
I wierz mi, dziecię, nieraz jedno słowo,
Jedna łza, uśmiech serdecznéj dobroci,
W znękaną duszę wleje siłę nową,
Boleść ukoi i nędzę ozłoci.
Wróć więc, daj serce biednym, zamiast chleba,
A reszty Pan Bóg sam dopełni z Nieba."

Rzekła i wnetże postać jéj świetlana
Znikła, jak we śnie oglądane dziwy,
Gdy swoim blaskiem złote słonko zrana
Oczy nam na świat otworzy prawdziwy;
Tylko dokoła, na niebie i ziemi,
Stało się jaśniéj, niż w jasne południe,

Jakby te blaski dziwne, co się niemi
Obraz nieboszczki malował tak cudnie,
Powodzią światła swojego świat cały,
Powietrze, pola i łąki zalały,
I w Niezabudki sercu, jak w klejnocie,
Iskier tęczowych zapaliły krocie.
Błogość nieziemska jéj duszyczkę pieści,
Już zapomniała smutku i boleści,
Już się nie wstydzi biednych i nie trwoży,
I jak radosny, szczęsny ptaszek Boży,
Jakby jéj skrzydła dał kto szybujące,
Rączo napowrót mknie po barwnéj łące,
I piosenkę sobie szczebiocąc wesoło,
W locie rwie kwiatki, których pełno wkoło.

Wbiegła na drogę wielką, aż przy drodze
Siedzi staruszka wynędzniała srodze
I rękę do niéj z modlitwą wyciąga.
— „O babciu miła! — zakwili niebożę —
Niech miłosierny Bóg ci dopomoże,
Bo ja, On świadkiem, nie mam ni szeląga!
Nic nie mam zgoła, prócz tych kwiatków oto,
I te ci daję z serdeczną ochotą:
Niech ci ich widok oczy rozweseli,
A może święci sprowadzą Anieli
Kogoś, co będzie szczodry i bogaty

I grosz ci jaki rzuci za te kwiaty."
— „O! niech Bóg stokroć odpłaci panience! —
Rzekła staruszka, wziąwszy snopek w ręce, —
Niechaj za litość, co ci w oczach świeci,
I co tak słodko dźwięczy w twojéj mowie,
Wszystkie ci drogi żywota ukwieci,
Niech da ci szczęście, dostatki i zdrowie!"

A Niezabudka wdzięcznie zasromana,
Z bijącém sercem, ze łzawą powieką,
Już od żebraczki odbiegła daleko
I nie widziała, jak cudowna zmiana
Zaszła z jéj darem; lecz dotąd wieść słynie
W całéj téj, gdzie się to stało, krainie,
Jako, po chwili, staruszka zdumiona
Musiała oba wytężyć ramiona,
Aby udźwignąć snop pszenicy złoty,
Co urósł z kwiatków, wziętych od sieroty;
I powiadano znów, że z tego snopa
Powstała snopów caluteńka kopa,
A z kopy sterta, i przez całe życie
Nie brakło chleba już onéj kobiécie.

A Niezabudka, wesoła, szczęśliwa
Błogosławieństwem serdeczném staruszki,
Pomyka daléj i bławatki zrywa,

I nucąc piosnkę, wije z nich wianuszki.
Aż nagle zmilknie i w biegu się wstrzyma,
Żałosny widok mając przed oczyma.
U drogi stoi jakaś dziewczynina,
Ledwie okryta brudnemi łachmany;
Wdzięczna twarzyczka jéj blada, aż sina,
Oczki zapadłe, jasny włos splątany,
Cała jéj postać znędzniała, skulona,
Ciche łzy płyną, jęk na ustach kona,
Co drżąc, na słowa zdobyć się nie mogą;
Lecz słów nie trzeba, bo spójrzenie jedno
Wystarczy, by się przekonać, jak srogo
Nędza i głód się pastwi nad tą biedną.

Więc się rozpłacze rzewnie Niezabudka
I do dziewczki się odezwie czule:
— „O ty biedaczko, moja ty malutka!
Czém-że ja żal twój i boleść utulę?
Czém cię okryję, czém głód twój ukoję,
Kiedy tak smutne własne życie moje?
Niech Bóg cię wesprze! w Nim złóż swą nadzieję,
Ufaj, że On cię nakarmi, odzieje;
On stroi kwiaty, On żywi ptaszęta,
I o najlichszym robaczku pamięta.
A ja ci chyba dam ot te bławatki;
Weź je i zanieś do Najświętszéj Matki,

Co tam u drogi, z marmuru rzeźbiona,
Dzieciątko Boże piastuje u łona.
Z modlitwą rzewną u stóp Jéj ofiarnie
Złóż te wianuszki i nie wątp, dziecino,
Że ta, co wszystkich sierot jest jedyną
Matką najlepszą, i ciebie przygarnie,
I zjedna dla Cię cud litości Bożéj,
Który niedoli twojéj kres położy."

Tak sieroteńkę ciesząc słodką mową,
Z pieszczotą tuli ją w swoje objęcia,
I miękką dłonią głaszcze główkę płową,
I blade liczko całuje dziewczęcia.
I łzy niebodze oschną téj-że chwili,
I oczki błysną, jak gwiazdeczki złote;
Bo kto do serca przygarnie sierotę,
Kto ją ukocha, Nieba jéj przychyli.
Tak więc biedaczka, choć na moment krótki
O srogiéj swojéj zapomniawszy nędzy,
Wianuszki, wzięte z ręki Niezabudki,
Niosła do Matki Najświętszéj czémprędzéj;
Lecz nim staj parę ubiegła w tę stronę,
Dziw ją radosny powstrzymał, bo one
Wianki w jéj dłoniach, o mój Boże miły!
W słodkie kołacze nagle się zmieniły.
I dotąd w onéj okolicy ludzie

Opowiadają o tém, jak o cudzie,
Dodając nadto, że po kres żywota
Już nie doznała głodu ta sierota.

A Niezabudka, błogo rozrzewniona
Wzruszeniem, co go serce jéj zaznało,
Gdy przygarnęła litośnie do łona
Osieroconą dziecinę zgłodniałą,
Szła daléj, wielbiąc swoję matkę drogą,
Co jéj cudownie przypomniała z Nieba,
Jak biedni biednym przynieść ulgę mogą,
I jak łaknących nakarmić bez chleba.
A nim stanęła popod oną skałą,
Gdzie się piętrzyły czarne zamku wieże,
Mijając łąki ostatnie pobrzeże,
Zerwała jeszcze wonną lilję białą,
By ten jéj matki kwiat upodobany
Rozjaśnił mroczne jéj więzienia ściany.

Wtem nieopodal od zamkowéj brony
Ujrzy rycerza, co, ciężko raniony,
Kurzem okryty, w potrzaskanéj zbroi,
Z mieczem złamanym padł przy tarczy swojéj
Na twardéj skale i w krwi własnéj broczy;
A bladość trupia już mu twarz powleka
I mgłą śmiertelną już zachodzą oczy,
I już ostatnia chwila niedaleka!

Z jękiem żałosnym dziewczę tam się rzuci
I przy rycerzu padnie na kolana;
Łzami go rzeźwi, tchem go swoim cuci,
A upatrzywszy, gdzie bolesna rana,
Chyżo przewiązki spadłe z niéj przywraca,
I krwi gwałtowne tamuje upływy.
Nie była marną jéj serdeczna praca:
W oczach rycerza blask zapłonął żywy,
Śmiertelna bladość ustąpiła z twarzy,
Z ust, zamiast jęku, wyszły wdzięczne słowa:
— „O! niech cię Stwórca wszelkiém dobrem darzy,
Niech od przygody wszelkiéj cię zachowa,
Piękna dziewico! bądź błogosławiona,
Żeś mi nie dała zginąć na téj skale,
Gdzie, wysilony trudem, na upale,
Gdy mię od zamku tego odpędzono,
Gdy mi już nawet na to sił nie starczy,
Aby opatrzyć swą krwawiącą ranę,
Padłem, by skonać obok swojéj tarczy;
Lecz dzięki tobie, jeszcze z nią powstanę...
Bądź więc do końca Aniołem dobroci
I przynieś mi tu wina parę kruży;
Czuję, że ono zdrowie mi przywróci
I doda siły do dalszéj podróży.
I daj mi, proszę, tę lilią białą,
Godło twéj duszy; niechaj niém ozdobię

Hełm swój rycerski, a myśląc o tobie
Przeciw samemu piekłu stanę śmiało."

A Niezabudka w łzach serdecznych tonie,
Szczęśliwa własnéj swéj litości czynem,
I hełm rycerza wziąwszy w drżące dłonie,
Zdobi go lilją, jak gdyby wawrzynem,
I w lot pośpiesza do zamku po wino.
Lecz nagle gorzkie łzy z ócz jéj popłyną,
Gdy wspomni sobie swego ojca, biedna!
Wszakże przed chwilą od jego-to brony
Tenże sam rycerz został odpędzony!
Jakże dla niego teraz litość zjedna,
I jakże z prośbą o wino przystąpi
Do tego, który nawet wody skąpi!
A nie wiedziała w onéj chwili o tém,
Jaka z jéj darem zaszła dziwna zmiana,
Że się puharem stała szczerozłotym
Lilia przez nią rycerzowi dana,
A krople rosy, co się w kwiecie kryły,
Napojem, pełnym życiodawczéj siły.

A podczas, gdy się owe cuda działy
I wieści o nich biegły w okolicy,
Baron i jego towarzysze dzicy
W polu na łowach dzień spędzili cały,

I nad wieczorem ciągnąc poprzez wioski,
Słyszeli trudne do wiary pogłoski,
Że Niezabudce zesłał Pan Bóg z Nieba
Cudowną władzę, iż każdy jéj datek,
Choćby najlichszy, choćby polny kwiatek,
W to się zamienia, czego komu trzeba:
Więc w plenne snopy dla wdowy ubogiéj
Więc w słodki kołacz dla głodnéj sieroty,
A dla rycerza, co kona śród drogi,
Ciężko raniony, w puhar wina złoty;
Bo w ślady za nią idzie Anioł Boży,
I co bądź ona komu w rękę włoży,
Tém płaci, o czém ów zamarzy sobie,
A tamto zbiera ku Niebios ozdobie.

„W to mi graj właśnie! — słysząc owe dziwy,
Wykrzyknie Baron bezbożny, — obaczym,
Jeżeli tak jest, to ów osobliwy
Kupiec niebieski, nie z gminem prostaczym,
Lecz musi ze mną handlować jedynie;
Bo przecież córce będzie z tém do twarzy,
Jeśli rodzica swojego obdarzy
Tém, co się tylko na myśl mu nawinie."

Zaledwie wkroczył w zamku swego progi,
Już mu do kolan przypadła dziecina,

Wołając rzewnie: „O mój ojcze drogi!
Błagam cię, daj mi parę kruży wina!
Niechaj niém życie rycerza ocalę,
Co ranny kona pod zamkiem na skale!“
A Baron na to z obłudną słodyczą:

— „Dzieweczko luba! zbądź się próżnéj troski,
Bo nad nim przez cię cud się spełnił Boski.
Lilia twoja, siłą tajemniczą
W kruż złoty z dziwnym balsamem zmieniona,
Zdrowie i życie wlała mu do łona.
Cóż tak zdumione otwierasz oczęta?
Wiedz, żeś wybrana u Boga, żeś święta,
Że, jeśli zechcesz, możesz czynić cuda.
Sprobuj, czy ze mną również się nie uda,
Jak z oną babą, dzieckiem i rycerzem?
Daj mi co, niech się złotem u mnie stanie,
A przez codzienne cudu powtarzanie
Nie lada skarby rychło sobie zbierzem!“

—„Ach ojcze! — rzeknie dzieweczka z pokorą, —
Jeśli te dary, co z rąk moich biorą
Biedni nędzarze, jakaś litościwa
A hojna ręka za złoto nabywa;
To czyż przystało, byś ty, bogacz taki,
Miał być darzony narówni z żebraki?

O, przebacz, ojcze, jeśli twoje dziecię
Do serca twego przemówi za śmiało!
Nie żądaj więcéj, niż ci Niebo dało,
A wspomnij o tych, których nędza gniecie:
Nakarm łaknące i nagie przyodziéj,
A duszy twojéj będzie stokroć słodziéj,
Niż gdyby wszystko, jak dziś pragniesz oto,
Co dam ci w rękę, zmieniło się w złoto.“

—„O! radbym zaznać téj lepszéj słodyczy;
Ale tu wkoło tak wielu nędzarzy,
Iż skarb ten cały, którym Bóg mię darzy,
Dla nich nie starczy. Niech więc mi użyczy
Moja dzieweczka swéj cudownéj władzy,
A pewno wszyscy łaknący i nadzy
Chleb u mnie znajdą i od stóp do głowy
W dostatnią odzież będą opatrzeni.
Daj mi na próbę ten krzyżyk cynowy,
Co masz na piersiach, niech się w złoty zmieni,
I ten sznureczek, gdy go z nim na szyję
Wezmę, perłami niechaj się okryje.“

To rzekł i porwał jéj ów krzyżyk z cyny
I sznurkiem kark swój opasał otyły.
I włosy mu się na głowie zjeżyły,
I drżąc ze strachu, stał niemy i siny!

Bo, jak wieść głosi po dzisiejsze lata,
Sznurek się nagle zmienił w stryczek kata,
I niecny Baron byłby zginął wkrótce,
Gdyby ratunku nie miał w Niezabudce,

A w tych powieściach dziwnych, niema baśni,
Tylko cudowne iście sprawy Boże,
I dziw się cały dokładnie wyjaśni,
Gdy się dowiemy, jako w onéj porze
Młody, szlachetny władca téj dzierżawy,
Którego Baron był tylko lennikiem,
Zwiedzał swe państwo, poznać je ciekawy,
I o swéj władzy nie mówiąc przed nikim,
Jak pospolity człek między ziemiany
Chodził i badał wszystko niepoznany.
Więc i bezecne łupieztwa Barona
Więc i małżonki jego wzniosłe czyny,
I Niezabudki dobroć niezmierzona,
I smutna dola téj lubéj dzieciny,
Już mu wiadome były należycie;
A gdy ją ujrzał w uroczym rozkwicie
Krasy dziewiczéj, cudnie otoczoną
Anielskiéj cnoty aureolą złotą,
To postanowił królewską koroną
Z nią się podzielić. I w ślad za sierotą
Z Bożego domu podążał w oddali,

Widząc i słysząc wszystko, i za kwiaty,
Które z jéj ręki nieszczęśliwi brali,
Każdemu okup wnet dawał bogaty.

A gdy po wino poszła dla rycerza,
On we złoconą trąbkę wnet uderza,
Zwołując dworzan swoich świtę całą,
Oczekującą hasła na uboczy,
I na Barona powrót po za skałą
Czatuje z nimi i tuż za nim kroczy.
A wkroczył właśnie w samę chwilę ową,
Gdy Baron zerwał krzyżyk z Niezabudki,
I jedno jego wielowładne słowo
Na karku zbrodnia sznurek ów cieniutki,
Na którym godło wisiało zbawienia,
Naraz w wisielczy powróz mu zamienia.

Lecz Niezabudka we łzach na kolana
Do nóg młodego mocarza upadnie,
Wzywając łaski dla ojca i pana,
I wyrok straszny dlań przebłaga snadnie;
Zwłaszcza, gdy Baron w groźnéj onéj chwili,
I sam téż za nią do stóp mu się schyli,
Kornie wyznając, że jest godnym kary
Za ucisk ludzi, gwałty i łupieże,
Ale się krusząc i ślubując szczerze,

Iż się poprawi wreszcie grzesznik stary,
I odtąd całe swe poświęci życie,
I serca nigdy w sobie nie ostudzi,
Aby przejednać i Boga, i ludzi,
I dawne winy okupić sowicie.

Młodzian miał serce do litości skore,
A choć zuchwalców zwykł karać surowo
Za upór w zbrodni, gdzie żal i pokorę
Ujrzał, wnet wyrzekł przebaczenia słowo.
A tu łzy rzewne i głos błagań słodki
Przyklękłéj przed nim uroczéj sierotki,
Co przez lud wszystek w jarzmie u Barona
Tak ukochana była i wielbiona,
I co na jego tkliwe serce młode,
Przez duszę wzniosłą i cudną urodę,
Rzuciła urok nieprzeparty niczem,
Litość wrodzoną wzmogły w nim tém więcéj,
I winę ojca blask cnoty dziecięcéj
Rozproszył całkiem przed jego obliczem.

Powróz więc kata spadł z szyi zbrodniarza,
Ale pozostał krzyżyk Niezabudki,
A choć się cudem w złoto nie przetwarza,
Bardziéj cudowne płyną z niego skutki;
Bo pod nim dusza ta twarda i dzika

Promieniem łaski Bożéj się przenika,
I ten bezbożnik, ten człowiek bez serca,
Gwałtownik, zbójca okrutny i zdzierca,
Już nie na łowach, mordach i łupieży
Wszystkie dni trawi i nie zgrozę szerzy,
Tylko łagodny, cichy, ukorzony,
We łzach się kruszy u grobowca żony,
Lub przyodziany w pokutniczą szatę
Nawiedza niegdyś pustoszone wioski,
I niby Anioł Opatrzności Boskiéj,
Nie tylko dary roznosi bogate,
Lecz i serdeczną pociechę na smutki;
A kto mu poda kwiatek Niezabudki,
Tego i hojną wesprze zapomogą,
I nawet winę odpuści mu srogą.

A nie u tego Barona jedynie
Skromny ten kwiatek stał się talizmanem,
Lecz rychło w całéj szerokiéj krainie
Został on łaski narzędziem uznanem.
Bo gdy ów mocarz spełnił chęci swoje,
I Niezabudka w królewskiéj koronie
Z małżonkiem swoim zasiadła na tronie,
To jéj dobrodziejstw nieprzebrane zdroje
Na wszystek naród hojnie się rozlały;
Gdyż miłościwy Król ten i wspaniały

Nikomu nigdy nie odmówił w niczem,
Kto tylko stanął przed jego obliczem,
W kwiatku tym, danym sobie przez Królową,
Rękojmię łaski mając już gotową.

Spis rzeczy.